

Marta Kładź-Kocot

**Śródziemie i szczeliny śmierci,
czyli daremność jako mechanizm ocalenia**

Beowulf nie jest typowym bohaterem heroicznej dumy. Brak mu konfliktu lojalności czy nieszczęśliwej miłości. Jest człowiekiem, i to jest dla niego i dla wielu dostateczną tragedią [...] W samym poemacie jest śmiertelna powaga, rodząca dostojność tonacji [...] Tak śmiertelna i nieunikniona jest kryjąca się za nimi myśl, że ci, którzy pozostają w kręgu światła, wewnątrz obłożonego dworu, zajęci pracą lub rozmową, nie patrzą na mury; nie dbają o to, co czai się za nimi, ale też nie wzdragają się przed tym. Śmierć przybywa na święto, a oni mówią, że Ona mamrocze, że brak Jej wyczucia proporcji.

J.R.R. Tolkien, „*Beowulf*”. *Potwory i krytycy*

Od czasów pełnoskalowej wojny w Ukrainie określanie rosyjskich żołnierzy mianem „orków” nikogo nie dziwi ani nie oburza. Gdyby wiązało się z dehumanizacją, właściwie powinno oburzać, dehumanizacja jest bowiem zabiegiem, który daje zwolnienie lekarskie z podstawowej lekcji etyki. Jeżeli odczłowieczymy wroga, możemy postawić znak równości między nim a złem, a zło należy tępić bezwzględnie i bez wyrzutów sumienia. W tym jednak przypadku określenie „orkowie” jest w gruncie rzeczy właśnie sądem etycznym, stwierdzeniem, że ci, którzy oddali się we władanie ciemnej, zbrodniczej ideologii i w jej imię dokonują straszliwych zbrodni, sami niejako usunęli się poza obręb wspólnoty w człowieczeństwie. Sięgnięcie do Tolkiena, które staje się elementem wykuwania ukraińskiego mitu, stanowi zarazem odwołanie do czytelnej, utrwalonej w kulturze skali dobra i zła.

Richard Rorty (z sympatii do anarchizmu interpretacyjnego nie zamierzam się tłumaczyć) zaproponował pojęcie wspólnoty interpretacyjnej, to jest ogółu odbiorców, którzy zgadzają się w kwestii konkretnego odczytania danego tekstu kultury, a więc takich, dla których jest on produktywny, wiarygodny, znaczący. Prześledzenie wspólnot, które wyczytują przeróżne sensy z Tolkienowskiej *mythopoei*, począwszy od amerykańskiej kontrkultury lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byłoby zadaniem karkołomnym. Jedno jest pewne – mówimy Tolkienem, niekiedy nawet nie zdając sobie z tego sprawy, tak jak pan Jourdain mówił prozą. I to od dawna. Mały dowód można znaleźć w uroczej powieści Matta Ruffa *Glupiec na wzgórzu*, której bohaterami są studenci uniwersytetu Cornella, a wśród nich grupka zamieszkująca tajemniczą rezydencję zwaną „Domem Tolkiena”, wyposażoną w odpowiednie rekwizyty. Dziś wszyscy w pewien sposób zamieszkujemy w „Domu Tolkiena” – ko-

lektywna myśl przesiąkła Śródziemiem, które ma również tę właściwość mitu, że multiplikuje się w niezliczonych iteracjach zapośredniczonych przez rozmaite media. Ale jeśli posłuchać tego, co mają do powiedzenia Umberto Eco w swych licznych dziełach i Roland Barthes w *Mitologiach*, można usłyszeć, że popkultura w dużej mierze przejęła spuściznę mitycznych struktur, a częściowo także ich funkcję – organizuje zbiorową wyobraźnię, dostarcza matryc rozumienia i przeżywania świata. *Władca Pierścieni* wyrasta zaś dalece poza prosty przykład tego typu oddziaływania – jest w pewnym sensie powieścią totalną, powieścią-światem, drzewem znaczeń, którego korzenie sięgają w głąb kultury europejskiej, a gałęzie rzucają potężny cień na wytwory współczesne. Tolkien stał się językiem, którym, chcąc nie chcąc, mówimy. Również językiem czytelnych podziałów na dobro-zło.

Współcześnie już nikt nie odważyłby się napisać powieści, w której wybory moralne byłyby tak bardzo czarno-białe, choć gdy przyjrzeć się uważnie bieli, można w niej zauważyć zniuansowane odcienie szarości, co pięknie opisał kiedyś Tadeusz Sławek w szkicu o szarej polityce, pomieszczonym w tomie *Tolkien – mit, historia, literatura*. Świat Śródziemia, choć musi bronić się przed złem, tylko z pozoru opiera się na przejrzystych etycznych decyzjach, a wszystkie zakończenia, choć zło zostało pokonane i przegnane, noszą w sobie przeogromne piętno smutku, przemijania i nieuleczalnych ran. Śmiem twierdzić, że świat ten zawiera szczeliny i pęknięcia, przez które przegłąda pustka, chaos i groza śmierci, i związane z nią poczucie głębokiej beznadziei, czyli to wszystko, co pozornie kłóci się z ładem zbawienia, z opatrnościową logiką *eukatastrophe* – jak Tolkien określał nagły, radosny zwrot akcji, czyli coś zupełnie przeciwnego zasadom, jakimi rządzi się tragedia. Jednak podstawowa egzystencjalna uczciwość wymaga, żeby spojrzeć w otchłań, i co więcej – zatrzymać tam spojrzenie. Dowód na istnienie tej myśli, na jej zakorzenienie w świecie *Władcy Pierścieni* można znaleźć choćby w przywołanym powyżej cytacie z eseju o *Beowulfie* (a nie sposób nie zauważyć, że broniąc przed krytykami potworów pojawiających się w staroangielskim poemacie, autor w istocie bronił potworów z własnej twórczości). Tolkien stwierdza tu wprost, że groza obrazuje śmierć. Potężna i znacząca wydaje się ta metafora życia jako zamkniętego murami miasta, którego mieszkańcy zajmują się swoimi sprawami i nie zwracają uwagi na *Śmierć, która przybywa na święto*, na sączące się szczelinami prerażenie samotnością ludzkiego istnienia i odchodzeniem w niewiadome.

W tym samym eseju o *Beowulfie* Tolkien zdradza się z fascynacją nordycką „teorią odwagi”. Twierdzi, że

w przeciwieństwie do bogów greckich, bogowie i bohaterowie Północy mierzą się z perspektywą nieuniknionej klęski. Nie znając chrześcijańskiej koncepcji zbawienia, polegają na niezłomnej woli i zasadzie trwania mimo wszystko. Zdaniem Tolkiena poemat przesiąknięty jest myślą, że *człowiek, każdy człowiek i wszyscy ludzie, a także wszystkie ich dzieła zginą*, a u jego źródła tkwi stary dogmat – *rozpacz z powodu klęski, połączona z wiarą w wartość walki skazanej na przegraną*, są to bowiem czasy *pogańskie, szlachetne i pozbawione nadziei*. Nieprzypadkowo przywołuję te cytaty – wskazują one na owe szczeliny i pęknięcia, przez które do Tolkienowskiego świata, przesyconego łagodnym światłem *eukatastrofe*, wkrada się Śmierć. Nie zatruwa ona zwycięstwa, lecz wybrzmiewa jako równoległy temat, pogłębia opowieść, odziera ją z powierzchniowej, zbyt łatwej historiozoficznej logiki, wtrąca w bezlitosną otchłań egzystencjalnej prawdy.

Specyfiką *Władcy Pierścieni* jest bowiem etyka wbudowana nie tyle w działania bohaterów, ile w materię świata – etyka spleciona jednocześnie z jego metafizyką. Fizyczne zetknięcie dobra ze złem wywołuje w tym ostatnim atawistyczny odruch bólu i wstrętu, tak jak w przypadku Golluma, który styka się z wytworami elfiego rzemiosła. Kiedy Frodo i Sam, odłączywszy się od towarzyszy, samotnie wędrują do Mordoru i chwytają skradającego się za nimi stwora, najpierw próbują związać go elfią liną, potem zaś częstują lembasami. Na pierwsze Gollum reaguje realnym cierpieniem, na drugie zaś odrazą. Jego skażona natura nie jest w stanie znieść fizycznego kontaktu z pierwiastkiem dobra. Elfie płaszcz, choć cienkie, grzeją, zapewniają też wyjątkowo dobry kamuflaż, wykute przez elfich rzemieślników miecze lśnią, gdy zbliża się wróg, elfia lina również lekko połyskuje w ciemności, a także odwiązuje się samistnie, gdy już spełniła swoją funkcję. Odrobina elfich sucharów daje siły na długie godziny marszu. Wszystko to są przykłady obciążonej funkcją sakralną etyki, wbudowaną w materię świata. Wskazują one na nieobecny *explicite* Valinor, pieśń Iluvatara, mityczne początki i metafizyczne fundamenty, na których opiera się rzeczywistość Śródziemia. Jednocześnie cały Tolkienowski epos opowiada o tym, że kończy się epoka elfów, a nastaje era *ludzi śmierci podległych*. Jesteśmy więc u progu czasu historycznego, w którym zblednie rzeczywistość mitów. Z tym „zmiżchem bogów” również związany jest nieuchronny smutek, niemniej to nie on stanowi szczelinę, przez którą *Śmierć przybywa na święto*. Na planie społecznym w istocie dokonuje się zwycięstwo, natomiast tragiczne rozdarcia dotyczą indywidualnych bytów. Historiozofia i światoodczucie jednostki zdają się iść w Śródziemiu nieco odmiennymi torami.

O ile Tolkien wzbraniał się przed alegorią i jakąkolwiek formą alegorezy, o tyle głęboki sens wydaje się mieć odczytanie *Władcy Pierścieni* nie tylko jako wykreowanego mitu, ale również jako baśni o historii oraz uwikłaniu w nią. Wiele napisano o wewnątrzpowieściowych modelach społecznych, już Tom Shippey zauważył, że o ile Gondor czy Rohan pozostają w obrębie dawnej kultury rycerskiej, Shire reprezentuje raczej dziewiętnastowieczną, przedindustrialną angielską prowincję. Pominąwszy jednak te niewątpliwie słuszne odniesienia oraz metafizyczne, czarno-białe rozumienie dobra i zła, można dostrzec wyraźnie się rysującą opozycję dwóch modeli społecznych – totalitarnego i „normalnego”, który w braku lepszego pomysłu nazwę tradycyjnym. Pozwoli to dostrzec, że w istocie nie mamy do czynienia z układem czarno-białym, lecz czarno-szarym.

Totalitaryzm reprezentują przede wszystkim orkowie. Żyją oni w ponurej dystopii, w świecie totalnego zniewolenia, w którym jedynym motorem napędowym jest strach, a jedynym prawem rozkaz naczelnego wodza. Mogą objawiać samowolę i chciwość, jak wtedy, gdy słudzy Saurona i Sarumana kłócą się, komu dostarczyć porwanych Merry’ego i Pippina, niemniej nadrzędnym prawodawcą pozostaje władca, któremu są posłuszni. Nie przejawiają żadnej lojalności wobec siebie nawzajem – wręcz przeciwnie, atmosfera podejrzeń i wzajemnej wrogości oraz strachu, by nie wypaść z łask, niepodzielnie steruje ich zachowaniem. Wstrząsająca jest opowieść, którą Sam słyszy w jaskini Szeloby – gdy orkowie znaleźli zawiniętego w kokon towarzysza, pozostawili go w tym stanie, by nie drażnić pajęczycy, a zdarzenie to wspominają jako zabawną anegdotkę. Sauronowi również fakt, że Szeloba od czasu do czasu pożre któregoś z jego żołnierzy, wydaje się niewielką ceną za utrzymanie nieformalnego sojuszu z tą potworną strażniczką granic. Życie orka jest więc tanie i do tego stale zagrożone. W Mordorze również mamy do czynienia z etyką wbudowaną w materię, i zarazem symbolikę świata, tyle że tym razem waloryzowaną negatywnie – jest to złe, zatrute pustkowienie, chora i jałowa ziemia, jednocześnie zaś perfekcyjne wymodelowanie systemu totalitarnego. Podobny świat będzie próbował stworzyć w Shire Saruman wraz z Grimą Gadzim Językiem, wprowadzając autorytarną władzę i przymusową industrializację, a także strach, niewiedzę, przymus i marionetkowego przywódcę, za którego plecami skrywa się rzeczywisty władca. Totalitaryzm jest złem sam w sobie – to stwierdzenie tautologiczne, niewymagające wyjaśnień.

Model tradycyjny, który zwycięża, nie jest wolny od wad. Świat hobbitów to sąsiedzkie plotki, zawiść, spory, małostkowość, brak wyobraźni, a królestwa Théodena i Denethora mogą stać się teatrem intryg, rywalizacji,

nadużywania władzy, nierówności klasowej i płciowej oraz rozwarstwienia społecznego, które – jak to w świecie feudalnym – traktowane są jako coś oczywistego. Niewiele dowiadujemy się o funkcjonowaniu Gondoru pod panowaniem Aragorna, jednak ten Gondor zdaje się czymś czysto symbolicznym, sakralnym królestwem ustanowionym – a raczej odnowionym – po wielkiej wojnie, w której pokonane zostało zło. Niemniej chciałam zwrócić uwagę na prosty fakt, że przeciwieństwem tego ostatniego nie staje się we *Władcy Pierścieni* jakieś abstrakcyjne, wyidealizowane dobro, lecz po prostu nieskrępowane ludzkie życie społeczne we wszystkich jego przejawach. Być może to właśnie jest siłą tej powieści i przyczyną, dla której po kilku dekadach wciąż dostarcza nam ona języka do opisywania i mityzowania rzeczywistości. Powieść wydaje się wręcz apoteozą wzajemnego życia – Gandalf chwali hobbitkie zamięłowanie do jadła, napoju i wesołych pieśni, wyrażając opinię, że świat byłby piękniejszy, gdyby te wartości przełożył ponad ambicję i żądzę władzy. Z zakończenia przebija pochwała radości, pracy i szczęścia rodzinnego, które stają się udziałem Sama Gamgee. Cała etyczna logika *Władcy Pierścieni* wydaje się opierać na tej zasadzie odwrócenia – zwyciężyć może tylko to, co małe, słabe i pozornie nic nieznaczące. Powierzenie kluczowej misji istotom nieobdarzonym żadnymi zaletami cechującymi wojowników czy mędrców i fakt, że tę misję Frodo i Sam ukończyć muszą we dwójkę, półżywi z wyczerpania i pozbawieni wsparcia, stawia na głowie logikę heroicznej walki. Moc wydaje się deprawująca sama w sobie, dlatego ani Gandalf, ani Galadriela, ani żadna inna z postaci nią obdarzonych nie może stać się nosicielem Jedyne-go Pierścienia. Można go powierzyć wyłącznie istocie małej i bezradnej, a reszty dokona *eukatastrofe*. Czy to siła, czy słabość Tolkienowskiego uniwersum, trudno orzec. Z jednej strony zanegowanie kulturowo oczywistego prawa silniejszego wydaje się zatrzymywać uwagę na tym, co ważne: na komponentach „normalności”, na budowaniu świata, którego pragniemy, zamiast godzenia się na ten, który jest. Z drugiej zaś strony trąci to trudną do zaakceptowania historiozoficzną naiwnością, zwłaszcza w świecie, w którym pełną apokalipsa staje się powoli coraz bardziej nośną opowieścią.

Z kolejnej zaś strony *Śmierć przybywa na święto*, wkrada się szczelinami bytu, zaburza harmonię, zaciemnia. To Ona jest tu bohaterką, której nie można zignorować. W Jej obliczu jakże potrzebna staje się „teoria odwagi”, przekonanie, że w daremnej walce należy wytrwać do końca, nawet jeśli kres tej walki pozostawi po sobie rozdzierający serce smutek. Najdźwięczniej odzywa się w losach Froda i Arweny. Jego odejście i jej śmierć to w moim odczuciu dwa najbardziej przejmujące mo-

menty opowieści, najgłębiej dotykające prawdy o ludzkiej samotności w obliczu nieuchronnego rozstania ze światem i porzucenia wszystkiego, co się kocha.

Frodo ocala Śródziemie, ale nigdy nie odzyskuje spokoju. Pozostaje złamany i chory. Stare rany odzywają się w każdą rocznicę. Życie Sama nabiera kształtu i pełni, ma on mnóstwo *pracy i szczęścia*, żeni się, zakłada rodzinę, działa dla swojej społeczności – a zatem stoi po stronie życia we wszystkich jego pozytywnych przejawach – bujnego, radosnego, celowego, obfitującego w spełnienia. Frodo natomiast niekiedy szepce do siebie, że *pozostała tylko ciemność i pustka*, albo stwierdza, że jego rany są zbyt głębokie, by mogły się zagoić. Na końcu zaś deklaruje: *Staralem się uratować Shire i uratowałem, ale nie dla siebie*. Nalega, by Sam nie podlegał wewnętrznemu rozdarciu pomiędzy własnym kultywowaniem życia a towarzyszeniem mu w mroku – Sam bowiem powinien być *zdrowy i cały, z jednej bryły, przez wiele, wiele lat*. To jego czyni Frodo swoim spadkobiercą, to jemu pozostawia dopisanie ostatnich zdań w ukończonej już księdze. Opowieść obejmuje bowiem wszystkie aspekty bytu, ale by mogła rzeczywiście pełnić funkcję ocalającą, powinna znaleźć się po stronie życia, nawet jeśli gdzieś po drodze zagarnie i zagospodaruje kataraktyczną funkcję tragedii.

Tymczasem Frodo odchodzi w śmierć – tym właśnie jest bowiem ostateczne rozstanie, przeprawa przez morze, tym są białe statki cumujące w Przystani. Morze to silny, odwieczny symbol, zarówno macierzyńskich wód (tak jak w przypadku mezopotamskiej bogini Tiamat), jak i śmierci. Tolkienowskie wyspy na zachodzie (Valinor, Tol Eressea) są wszak w prostej linii potomkami celtyckich zaświatowych wysp – Tír na nÓg, Emain Ablach – Avalonu. Zakończenie Trzeciej Ery i odejście elfów ze świata oznacza tak naprawdę koniec mitu, odtąd życie musi radzić sobie samo, stojąc w cieniu Śmierci. Mit pozostawia po sobie przejmujący smutek, bolesną tęsknotę, jednak ludzki los przyczepiony jest do świata i nie może odnaleźć tajemnej drogi na zachód, do nieśmiertelnych krain.

Dlatego właśnie tak potężnym tragizmem naznaczony jest los Arweny, która dobrowolnie wyrzekła się przypisanej elfom nieśmiertelności, by móc poślubić Aragorna i dzielić z nim życie. Już na początku tej drogi dokonuje niemal niemożliwego wyboru pomiędzy ukochanym a ojcem i całą resztą swojego plemienia, z którymi będzie musiała rozstać się na wieczność – a wieczność ta to coś więcej niż zawsze, bo oznacza również czas po końcu czasów. W tej scenie padają zdania, które zawsze mnie zatrzymywały: *A chociaż była to pani tak wielkiego rodu i wielkiej mądrości, nie mogła wstrzymać się od prośby, żeby został z nią jeszcze choć przez*

chwile. Nie czuła się jeszcze znużona i syta życia, toteż poznała gorzki smak losu śmiertelnych ludzi, który zgodziła się podzielić. Aragorn godzi się oddać użyczone mu dar długowieczności, do niego zdaje się stosować biblijna formuła *odszedł syty dni*. W pewien sposób definiuje ona najlepszy los, jaki może spotkać człowieka – a jest nim łagodna śmierć po długim, spełnionym życiu. Arwena, choć starsza od swego małżonka o niemal trzy tysiąclecia, sytości ani spełnienia nie czuje – wręcz przeciwnie, buntuje się w obliczu końca, co mogłoby przeczyć deklarowanej mądrości, podobnie jak padające z jej ust stwierdzenie: *Gardziłam twymi współplemięncami, myśląc, że to są złe i głupie istoty, teraz jednak współczuję im wreszcie. Gorzko przyjąć to, co jest – jak mówią Eldarowie – darem Jedynego dla ludzi.* Wyrażona wprost pogarda nie zdaje się mieć wiele wspólnego z mądrością, wręcz przeciwnie, świadczy o pysze i małosłownym poczuciu wyższości – a może o wewnętrznej konieczności prześlepienia grozy, o świadomie zaaplikowanej sobie ślepotcie na Śmierć. Ta ostatnia nie jest bowiem w Tolkienowskim świecie wymagającą odkupienia karą za grzech pierworodny, lecz trudnym, niezrozumiałym, gorzkim darem, który sprawia, że na ludzkie dni pada nieustanny cień. Los elfów jest określony – los **ludzi** nieznany. I właśnie to nieznane – przepaść, *chasma*, egzystencjalna zgroza – stanowi szczelinę, pęknięcie w logice świata, zaprawia opowieść goryczą, ale dodaje jej prawdy. Bowiem ta zgroza jest prawdziwa. Po śmierci Aragorna jego elfia małżonka staje się *zimna i szara jak bezgwiazdna zimowa noc*. Spaceruje pod wędnącymi drzewami w Lórien, gdzie w końcu umiera i zostaje pochowana. Zwycięstwo ładu społecznego nigdy nie zapewni jednostce nieskończonego trwania, a opowieść o losie śmiertelnika, nawet gdy wyda się w którymś momencie „boską komedią”, zawsze w końcu zdejmie uśmiechniętą maskę i pokaże tę drugą, boleśnie wykrzywioną, tragiczną. Człowiekowi bardzo potrzebna jest „teoria odwagi”, niezłomne trwanie w obliczu spraw nieuchronnych i ostatecznych.

U schyłku opowieści i u kresu dni ujawnia się paradoks daremności. Z jednej strony nie pozostaje nic innego jak pogodzić się z nieuchronnym przemijaniem, ze stopniową utratą wszystkiego, co się kocha (w końcu przecież nawet Sama, który cieszy się wszelkimi słodyczami życia, dopadnie kiedyś znużenie i starość); z drugiej zaś dokonanie wielkich czynów i spisanie ich w księdze nadaje sens, a zatem w pewien sposób staje pomiędzy jednostką a śmiercią. I choć ta ostatnia wciska się w szczeliny opowieści, nie odbiera jej ocalającej funkcji. Przemijamy, zdaje się głosić Tolkien, lecz zostajemy wpleceni w żywą tkanę mitu, pozostaną po nas słowa,

pozostanie akt własnowolnej kreacji i prawo do tęsknoty za Nieśmiertelnymi Krainami.

Opowieść jest jedynym, co zostaje, kiedy *Śmierć przychodzi na święto*.

Cytaty pochodzą z:

- J.R.R. Tolkien, *Potwory i krytycy*, przeł. T.A. Olszański, Zysk i Sk-a, Poznań 2000.
- J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni*, t. I–III, przeł. M. Skibniewska, Muza, Warszawa 2001. ■

Marta Kładź-Kocot – literaturoznawczyni, pisarka i eseistka, doktor nauk humanistycznych, wykłada na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Autorka powieści „Daraena” (2021), nominowanej w 2023 roku do Nagrody im. Janusza Zajdla, a także dylogii „Noc kota, dzień sowy” (2017) oraz opowiadań publikowanych w antologiach i czasopismach, między innymi w „Nowej Fantastyce”. Opublikowała ponadto „Dwa bieguny mitopoetyki. Archetypowe narracje w twórczości J.R.R. Tolkiena i Stanisława Lema” (2012).